

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wtorki o 16:30. To u niej rutyna.

Stoję na pokrytym mazią fragmencie chodnika przy ruchliwym skrzyżowaniu Szesnastej i K, obserwuję zbliżających się przechodniów.

Moja nowa klientka pojawi się tu za siedem minut.

Właściwie nie muszę się z nią dziś spotykać. Wystarczy, że ją sobie obejrzę i określę, czy będę w stanie z nią współpracować. Na tę myśl odruchowo kulę ramiona, jak gdyby moje ciało instynktownie dążyło do pozycji embrionalnej.

Mogłabym odmówić wzięcia tej sprawy. Mogłabym też stwierdzić, że nie jestem w stanie zachować neutralności z uwagi na medialny szum wokół podejrzanej śmierci opiekunki wynajętej przez jej rodzinę, który już wpłynął na mój osąd.

Ale wtedy okłamałabym Charlesa, który jest dla mnie prawie jak ojciec.

– Wiesz, że nie znoszę prosić o przysługi, Stello – stwierdził w zeszłym tygodniu, siedząc naprzeciwko mnie w naszej ulubionej włoskiej restauracji. Jednym ruchem nadgarstka rozwinął ciężką białą serwetkę, a gwałtowny szelest podkreślił wagę słów.

Może chciał mi przypomnieć, że przez te wszystkie lata naszej znajomości nigdy o nic mnie nie poprosił?

– Nie wiem, czy dam radę jej pomóc – powiedziałam Charlesowi.

– Tylko ty możesz jej pomóc. Musisz być jej głosem, Stello.

Nie ma opcji, żebym odmówiła człowiekowi, który zapewnił mi karierę, poprowadził mnie do ołtarza i pozwolił się wypłakać, gdy moje małżeństwo się rozpadło. Właśnie dlatego tu czekam.

Moja nowa klientka nie zauważy mnie: trzydziestoośmioletniej brunetki w czarnej sukience i botkach do kolan, niby to zajętej telefonem, jak połowa ludzi w tej części Waszyngtonu.

Za dwie minuty powinna się zjawić.

Gdy blade październikowe słońce chowa się za chmurą i ciepło znika z otoczenia, za mną rozdziera się nosowy dźwięk klaksonu. Niemal wyskakuję z siebie.

Odwracam się gwałtownie, piorunując wzrokiem kierowcę, a gdy znowu się skupiam, moja klientka wyłania się zza rogu kilkanaście metrów dalej. Ma na sobie niebieski sweter zapięty pod szyję, jej rude loki rozsypują się na ramionach, a twarz pozostaje nieprzenikniona.

Jest filigranowa, jeszcze drobniejsza, niż się spodziewałam. Wydaje się raczej siedmio- niż dziewięciolatką.

Jej matka – wysoka, o surowej aparycji i z torebką wartą więcej niż niektóre auta – ściska dłoń mojej klientki, gdy zbliżają się do celu: budynku z szarego kamienia z adresem dyskretnie wypisanym na mosiężnej tabliczce. W środku znajduje się gabinet najlepszego psychiatry dziecięcego w stolicy.

Za kilka chwil znikną za drzwiami i pochłonie je ten budynek.

To tylko dziecko – przypominam samej sobie. Dziecko, które w ciągu ostatniego miesiąca przeszło więcej niż niektórzy ludzie przez całe życie.

Jestem dobra w mojej pracy. Może strategię i techniki, które sobie wypracowałam, pozwolą mi sobie z tym poradzić. Raz to ja oddam przysługę Charlesowi – dla odmiany.

Mała Rose Barclay przystaje kilka kroków przed wejściem do budynku psychiatry. Puszczą dłoń matki i wskazuje swój but. Pani Barclay kiwa głową, zdejmując przyduże okulary przeciwsłoneczne i chowa je do etui, a tymczasem Rose się pochyla.

Mrużę oczy, wykręcam szyję.

Ludzie przepływają obok Rose jak woda obmywająca skałę, ale chyba nikt nie zwraca uwagi na to, co robi dziewczynka.

Rose wcale nie poprawia klamry czarnego lakierka w klasycznym stylu, jak wcześniej przypuszczałam.

Jej lewa dłoń ucieka w bok. Czegoś szuka.

Jakaś siła ciągnie mnie naprzód, do niej.

Wszystko dzieje się tak szybko, że niemal dobiega końca, nim się zorientuję, co zrobiła. Gdybym patrzyła z innego kąta, z drugiej strony ulicy albo z budynku – niczego bym nie zauważyła.

Rose prostuje się, lewą dłoń wsuwa do kieszonki swetra, a prawą sięga po dłoń matki.

Dowód znika, bezpiecznie ukryty.

Ale ja go widziałam. Wiem, co ta niepozorna dziewczynka podniosła z chodnika i schowała w kieszeni.

Odłamek tłuczonego szkła, w kształcie przypominającym sztylet, z groźnie zaostrzonym końcem.